Moja Mama Małgosia

Jeśli powiem, że moja mama nazywała się pod koniec życia Małgorzata Węgrzyn, a wcześniej Helena Węgrzyn, zwana też Haliną (zmieniła oficjalnie imię z Helena na Małgorzata w latach 90), we wcześniejszej metryce miała Helena z domu Pawlik Gwozdecka, a jako dziecko i młoda dziewczyna nazywała się Halina Lipińska, to widać, z jak skomplikowaną historią mamy do czynienia… Życie mojej mamy było o wiele, wiele bardziej skomplikowane, smutne i tragiczne, pogmatwane i nie do końca zrozumiałe.

Jasełka, mama z prawej, ten aniołek

Mama urodziła się 23 listopada 1927 roku w Krakowie, i to jest pewne. Dopiero tata, po poznaniu mamy, pomógł jej zdobyć metrykę. Z jego opowieści pamiętam, lecz nie kojarzę dokładnych szczegółów, że były z tą metryką jakieś niezrozumiałe problemy, jakieś przekreślenia, chęć zmiany wpisów itp. Z metryki wynika, że mama była córką Stanisława Pawlik-Gwozdeckiego i Jadwigi z domu Piechowicz. Mama opowiadała, że jej matka zmarła, kiedy mama miała 3 latka, wtedy jej ojciec oddał ją najpierw na wychowanie na wieś, gdzie bardzo się z nią źle obchodzono, między innymi została bardzo poważnie poparzona (wielka blizna na ramieniu), po czym ojciec ją odebrał, i przez ogłoszenie w gazecie szukał osoby, która by się nią zajęła. Tak opowiadała mama, a z dat wynika, że kiedy jej matka zmarła, mama miała 6 lat… Natomiast z opowieści taty, na podstawie informacji od Pelagii Di Risio, która wzięła (kupiła?) mamę na wychowanie wynika, że wzięła mamę gdy ta miała 3 latka, a więc na wieś musiała zostać oddana jeszcze wcześniej.

Mamy wersja była taka, że – jak wyżej – ojciec, po śmierci jej mamy, nie umiał się zająć dzieckiem i szukał jej domu. Opowiadała, że miała starsze, dorosłe rodzeństwo, brata i siostrę, kiedy pytałam, czemu ich nigdy nie szukała, odpowiadała – dlaczego miałabym ich szukać, wiedzieli, że mają małą siostrzyczkę i nigdy się nie zainteresowali, co się z nią dzieje, czy nie potrzebuje pomocy!

Natomiast kiedy tata wziął na siebie obowiązek znalezienia mamy dokumentów i dotarcia do jej korzeni, sprawa zaczęła się układać inaczej: podobno, według wspomnień taty, mama pojechała po informacje na temat swojego pochodzenia do byłej niańki domu swojego ojca, niejakiej Pippin (niestety, tata imienia nie pamiętał). Tam skierowała ją Di Risiowa, na żądanie taty. Mama wróciła stamtąd zdenerwowana, nie chciała mówić czego się tam dowiedziała, w końcu jakoś tata wyciągnął z niej, że ta kobieta „usiłowała jej wmówić, że była jej matką". Mama absolutnie nie chciała w ogóle wracać do tego tematu (ta wyprawa była jeszcze przed moim urodzeniem, a później wielokrotnie opowiadała mi, że jej matka zmarła kiedy miała 3 lata). Tymczasem wydaje mi się, że była o krok od wyjaśnienia swojego prawdziwego pochodzenia: prawdopodobnie była nieślubnym dzieckiem swego ojca i tej niańki. Ojciec ją uznał za swoje dziecko, co więcej, zapisał ją jako dziecko swojej żony. Jednak prawdziwe jej pochodzenie (lub domniemane, bo dowodów nie ma żadnych) tłumaczyłoby po pierwsze, dlaczego jej domniemana matka, która naprawdę zmarła gdy mama miała 6 lat nigdy się nią nie zajmowała, dlaczego jej starsze, dorosłe rodzeństwo nie tylko nigdy się nie zainteresowało jej losem, ale też na amerykańskiej stronie z drzewami genealogicznymi, gdzie znalazłam jej ojca, wśród jego potomków nie było mojej mamy. Również te strzępy opowieści taty na temat problemów z mamy metryką w parafii wskazywałyby na fakt, że ktoś usiłował usunąć informację o pochodzeniu mamy z aktów kościelnych. Być może jej rodzeństwo obawiało się konkurencji do spadku, nie wiem…

Myślę, że najbardziej prawdopodobna wersja jest właśnie taka, i szkoda mi, że mama nie chciała dopuścić do siebie tej możliwości – mogła przecież poznać swoją prawdziwą matkę!

Jest faktem, że na ogłoszenie Pawlik Gwozdeckiego w gazecie zgłosiła się Pelagia Di Risio i według słów taty:

„Di Risiowa, Ukrainka, żona byłego jeńca włoskiego, odebrała w jakiejś podkrakowskiej wsi zaniedbane dziecko, z wielką, świeżo zagojoną blizną po oparzeniu na prawym ramieniu. Za dziecko zapłaciła trzysta złotych, otrzymując kartkę z oświadczeniem: „Oddaję na wychowanie pani Di Risio Halinę Zofię Lipińską urodzoną 18 października 1927 w Krakowie". Podpisany Stanisław Pawlik-Gwozdecki. To wszystko i do tego nieprawdziwe. Di Risiowie nie poczynili żadnych kroków w kierunku adopcji. Dziecko posłane do szkoły nie dostawało świadectw, bo nie miało metryki urodzenia."

Di Risiowie po pewnym czasie się rozwiedli, mąż wyjechał do Włoch. Mama została pod opieką kobiety, która nie miała pojęcia o wychowywaniu dziecka. Była bita, właściwie katowana, bo jak inaczej nazwać bicie pogrzebaczem, sznurem od żelazka, bicie po głowie takie, które na całe życie pozostawiło blizny, których mama wstydziła się u fryzjera. Mama nigdy nie miała zabawek ani też prawdziwego dzieciństwa. Opowiadała mi, że raz dostała lalkę, którą, jak to dziecko, postanowiła wykąpać. Lalka się zniszczyła, mama dostała lanie, i już nigdy więcej nie dostała lalki ani innej zabawki. Na różne sposoby natomiast pracowała, jako maleńkie nawet dziecko – spędzała godziny na gałęzi wiśni, żeby odganiać szpaki, sprzątała, zmywała góry naczyń (jeszcze zanim poszła do szkoły). Nie doznała czułości, pieszczoty, nikt jej nie pokazał, jak wyglądać może prawdziwa rodzina, prawdziwe relacje między bliskimi.

Mama malutka

Mama i Di Risiowa (z lewej) z jakąś panią

I Komunia

z DiRisiową

Opowiadała mi, że kilkakrotnie uciekała od Di Risiowej do ojca, i mając 5 lat potrafiła tam dojść pieszo (mieszkała w Czechowicach Dziedzicach a ojciec w Lanckoronie pod Krakowem, jak to było możliwe że tam była w stanie dojść tego nie wiem – mama jednak nie miała skłonności do przesady ani do fantazjowania, więc zawsze jej wierzyłam). Mówiła, że ojciec ją zawsze przyjmował życzliwie, dawał jeść, sadzał na kolanach i nie wyganiał. Nazywał ją Halką. Ona jednak, takie dziecko niczyje, od niego znów zwiewała do Di Risiowej, bo tam jednak był, byle jaki, ale jej dom. Podczas wojny mama, mając 12 lat pracowała w cegielni, to była potwornie ciężka praca, podczas gdy Di Risiowa, pięćdziesiąt parę lat, nie pracowała, była na mamy utrzymaniu.

Jednak największą krzywdą jaką mamie wyrządzono był brak dokumentów. Di Risiowa zapisała ją do szkoły na nieprawdziwe nazwisko (Halina Lipińska), później gdy chciała uczyć się dalej po wojnie, nigdzie jej nie chcieli przyjąć bez dokumentów. Różne szkoły zaczynała, obiecując, że przyniesie później dokumenty i kiedy czas się kończył – odchodziła. Bardzo inteligentna, z ambicjami, wciąż natrafiała na przeszkody w realizacji swoich marzeń, planów. Marzyła, by się uczyć grać na fortepianie, zapisała się do szkoły muzycznej – po paru miesiącach znów musiała zrezygnować, bo dokumenty, i tak dalej... Podczas wojny nauczyła się niemieckiego, stenotypii i stenografii, pracowała więc jako maszynistka.

Pracowała w redakcjach, gdzie bardzo szybko zauważano jej zdolności i oferowano jej lepszą pracę, jednak bez żadnych świadectw, nawet ukończenia szkoły podstawowej nie mogła dostać pracy zgodnej z jej ambicjami. Opowiadała, że niejednokrotnie pracowała za redaktorów, otrzymując wciąż wynagrodzenie jako maszynistka. Ta sytuacja doprowadziła prawdopodobnie do pierwszego ataku depresji. Mama po latach opowiedziała mi, że podczas gdy jej koleżanki studiowały lub pracowały, lub zakładały rodziny, ona nie mogła zrobić nic ze swoim życiem i właściwie było tak, jakby nie istniała. Wydawało jej się, że to sytuacja bez wyjścia, że ona nie ma prawa żyć, założyć rodziny, no bo jak, skoro nie ma dokumentów… I pewnego dnia rano nie mogła się zmusić, by wstać z łóżka, zjeść, umyć się, pójść do pracy. Tak przeleżała kilka dni, aż wreszcie powoli minęło. Tak się zaczęła jej choroba, która trwała do starości, nawracała i w końcu przerodziła się w psychozę dwubiegunową…

Wtedy jednak, w młodości mama zachorowała na gruźlicę, pojechała do sanatorium i tam poznała tatę. Polubili się, pokochali, tata postanowił się nią zaopiekować, pomógł jej załatwić dokumenty (był to trochę przekręt, no bo w dokumentach jakie mama miała, na nazwisko Halina Lipińska i tych, które udało się zdobyć, na nazwisko Helena Pawlik Gwozdecka, nic się nie zgadzało, również data urodzenia była nieco inna (wg słów taty):

„Prawnie zmiana wszystkich danych wydawała się omal niemożliwa, lecz z pomocą przyszła moja pacjentka z oddziału, której matka była przewodniczącą Miejskiej Rady Narodowej w Jeleniej Górze. Ta wystawiła orzeczenie, że Helena Zofia Pawlik-Gwozdecka nieprawnie używała nazwiska Halina Lipińska i tak dalej (mamy ten dokument w dokumentach mamy). Małgosia dostała dowód osobisty, moja małżonka uzyskała rozwód, a ja postanowiłem poświęcić resztę życia, by naprawić wszystkie krzywdy, jakie Małgosi wyrządził los.”

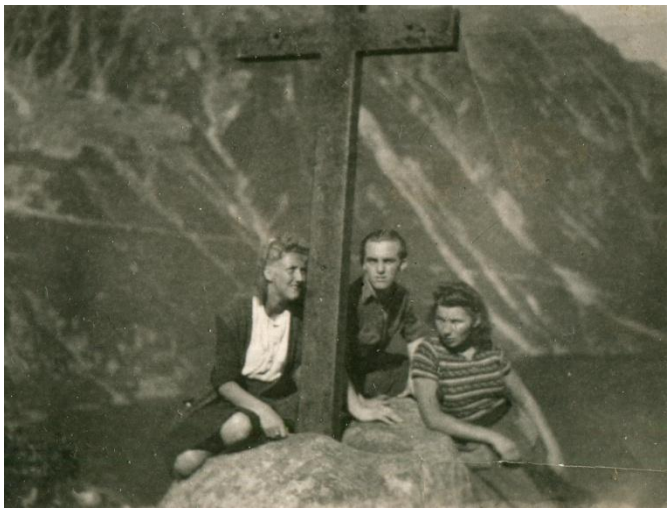
Mama w Tatrach

Mama, z lewej, z koleżankami

Aby dokończyć kwestię imienia, mama już wtedy, kiedy poznali się z tatą nazywana była przez wszystkich Małgosią, podobno dlatego, że wcześniej spotykała się z jakimś chłopakiem, i nazywano ich Jaś i Małgosia. Chłopak zniknął, a ona została Małgosią. Tak ją nazywał tata, tak mówili do niej przyjaciele, tak była znana wśród znajomych. Inni mówili na nią „pani Heleno”, czego mama nie znosiła. Już w Kaliszu, będąc w fazie z lekka maniakalnej, kiedy rwała się do działania, postanowiła zmienić urzędowo imię na Małgorzata… Jak postanowiła, tak zrobiła, niemało potem było z tym problemów, no bo trzeba było zmienić wstecz wiele dokumentów rodzinnych, ale mama była zadowolona. Z tamtymi imionami nie czuła się związana (choć jak opowiadała, podobało jej się, kiedy jej ojciec – gdy do niego uciekała – nazywał ją Halką…), zawsze, jak mówiła, czuła się Małgorzatą.

Z tragicznego, pozbawionego miłości dzieciństwa zostało jej też to, że nie umiała kochać. Swoje dzieci, nas, kochała gorąco i była dla nas bardzo czuła, ale nie potrafiła odwzajemnić uczuć taty, nie dawała się pocałować, przytulić, była jak jeż, który przy każdej próbie dotknięcia broni się kolcami. Przez to pożycie rodziców nie było łatwe… Tata był zawsze przy mamie i starał się nią opiekować, potrzebował jednak bardzo kogoś bliskiego, i wiem, że szukał bliskości gdzie indziej. Kiedy byłam już dorosła, zwierzał mi się i tłumaczył z tych „skoków na bok", mówiąc, że nie potrafi żyć bez czułości. Skarżył się, że mama nigdy nie powiedziała mu, że go kocha, największe wyznanie jakie od niej usłyszał to: „jestem do ciebie bardzo przywiązana" – bardzo go to bolało, mówił, że człowiek przywiązuje się do zwierzęcia a od kobiety potrzebuje uczucia. Znalazłam jednak list mamy do taty, w którym napisała, że zawsze go kochała, było to w latach 80-tych, tata przechowywał ten list wśród najważniejszych rzeczy i zabrał go ze sobą do grobu…

Na Wysokiej Łące, w Sanatorium Przeciwgruźliczym, tam, gdzie Mama poznała Tatę.